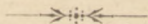


281989

Córka Swatka.



Komedyjka w jednym akcie.

Z niemieckiego przerobił

STANISŁAW SZZANIECKI.



Odbitka z „Gazety Toruńskiej”.



TORUŃ.

DRUKARNIA J. BUSZCZYŃSKIEGO.

1882.

OSOBY.

WOŁOWICZ.

EDWARD, syn jego, właściciel wsi.

JADWIGA, żona Edwarda.

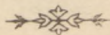
PANI LIPIŃSKA, matka Jadwigi.

BARON KRZEMIENIECKI.

ŻRÓDELSKI, profesor.

KASIA, służąca.

LOKAJ.



654 279

K. 78/82

(Pokój umeblowany elegancko. Drzwi środkowe i cztery boczne. Po obydwóch stronach sceny stoliki, fotele, krzesła. Przy oknie na prawo stoliczek do szycia. Na krzeselku pomiędzy drzwiami bocznymi leży Edwarda kapelusz. Na przodzie na lewo wielkie lustro stojące).

SCENA I.

PANI LIPIŃSKA. JADWIGA. EDWARD.

(Panie siedzą przy stoliku zajęte robotkami. Edward siedzi pomiędzy żoną a jej matką i trzyma ostatniej bawelnę, którą pani Lipińska zwiąja.)

EDWARD. Zgadzam się z mamą. Ja także wolę fortepian Żerardowski niż Bechsteinowski.

LIPIŃSKA. Ton jest o wiele pełniejszy.

JADWIGA *(urazona.)* Przeciwnie, moja mammo, ton jest bardziej stłumiony. Tak jest, tak, ton jest stłumiony, bardzo stłumiony. Zaś w fortepianie Bechsteina? Jakże tam wszystko śpiewał każdy ton jest tak czysty i dźwięczny, jak dzwoneczek.

LIPIŃSKA *(uśmiechając się.)* Moje dziecko, ty tego nie rozumiesz. Bechstein —

JADWIGA. Ależ moja mammo, sądzę przecie...

EDWARD. Ależ Jadwisiu! Mama znawczyni muzyki, była sławną pianistką, gdy ty zaledwie byłaś na świecie.

JADWIGA. Dla czego nie powiesz: gdy my obiedwie jeszcze nie byliśmy na świecie.

EDWARD (*roztrgniony.*) Tak jest.

LIPIŃSKA. Oh! oh! to byłoby już trochę za dalekie cofnięcie się.

EDWARD (*wystraszony.*) Ach! przepraszam! To była wielka pomyłka. W każdym razie mama, która będąc młodszą — przepraszam — to jest — chciałem powiedzieć, — która będąc jeszcze młodziutką panienką, grała już wybornie na fortepianie, musi przecież to lepiej rozumieć.

JADWIGA (*urazona.*) Naturalnie, jak wszystko! (*wstaje i chodzi po pokoju wzburzona.*) Państwo jednakże raczycie pozwolić, że i ja wtrącę moje słówko w tak ważną sprawę domową, jaką jest zakupno fortepianu, który z pewnością tysiąc dwieście do tysiąc pięciuset marek kosztować będzie. (*Siada zadana przy stoliku na prawo i zakrywa oczy chustką.*) Ale to tak, — ja tu nic nie znaczę. Oboje uważacie mnie za dziecko.

EDWARD (*który spostrzegłszy, że Jadwiga płacze, nieważnie trzymał bawełnę, kładzie ją na stół, biegnie do Jadwigi i chce jej rękę odjąć od twarzy.*) Ależ kochanie moje —

JADWIGA (*odpychając go.*) Za dziecko! — Tak jest, nawet ty uważasz mnie za dziecko (*z naiwną godnością*), chociaż jestem panią domu i matką, — i zaprawdę nie najgorszą. (*Do Edwarda, chcącego mówić.*) Cóż? może mi zaprzeczysz?

EDWARD (*uspokajając.*) Któż ci przeczy, kochanie? Sądzę tylko...

LIPIŃSKA (*śmiejąc się.*) Zostawże to dziecko w spokoju, kochany Edwardzie.

JADWIGA (*rozgniewana.*) Dziecko! zawsze dziecko! Ja przecie dzieckiem nie jestem. Nie chcę

być dłużej dzieckiem! Dziecko leży tam (*wskazując na prawo*) w kołysce, moje dziecko!

LIPIŃSKA (*j. w.*) No tak, tak, twoje dziecko, twoje dziecko! Ale dla tego ty pozostaniesz jeszcze zawsze mojem dzieckiem. Twoje zachowanie się.. (*wzrusza ramionami.*) Podziękuj Bogu, że twoje niemowlę nie ma rozumu, a zatem osądzić nie może twojego postępowania! — Pomóż mi, kochany Edwardzie, rzuciłeś bawełnę tak nagle, że się poplątała.

EDWARD (*biegnie ku niej uprzejmie.*) Niech mama pozwoli, naprawię mój błąd (*chce podnieść bawełnę.*)

LIPIŃSKA (*nie pozwala.*) Proszę cię, mój drogi Edwardzie. (*Podniosłszy sama bawełnę, wklada mu ją znów na ręce i zwija dalej. Rzucając spojrzenie na Jadwigę, dwuznacznie.*) Potrzeba mieć cierpliwość.

JADWIGA (*do siebie.*) O ta mama! Jakżeż ona mężczyzn wodzi na nitce. Nie miałabym nic przeciw temu, gdyby tylko mojemu mężowi chciała dać pokój. Jaki on dla niej uprzejmy! Poczekaj mężulku, nie daruję ci tego. (*Głośno, obcierając sobie oczy.*) Macie racją! jestem rzeczywiście dziecinną, że podobne bagatelki lży mi wyciskają.

EDWARD. Tak, to rozsądnie. Jesteś znowu moim skarbem najmilszym.

JADWIGA (*wyjmuje z stoliczka od szycia pudełko z śpilkami i upuszcza umyślnie.*) A a! jaka ja niezgrabna! (*schyla się, by popodnosić śpilki.*) Hm! ładnej sobie przysporzyłam roboty! (*spogląda ukradkiem na Edwarda, który okazuje ochotę*

przyjść żonie w pomoc, ale nie śmie. D. s.:) Nie przychodzi! *(gt.)* Nie dopomożesz mi mężulku?

EDWARD. Zaraz! najdroższa! Mama wybaczy, *(chce welnę zsunąć z rąk.)*

LIPIŃSKA *(wystraszona, rozstawia mu ręce.)* Proszę cię drogi Edwardzie, jeszcze chwileczkę, właśnie co dopiero rozwikłałam.

JADWIGA *(po malej pauzie, spoglądając na męża.)* Bardzo uprzejmie, trzeba przyznać. Czy sądzisz, że jestem w stanie sama tysiąc śpilek pozbiierać?

EDWARD. Ależ duszyczko, widzisz, że sam stoję jak na śpilkach! *(miarkując się przestraszony.)* Przepraszam mamę *(do Jadwigi.)* Zaraz będę na twoje usługi.

JADWIGA *(wstaje z ziemi.)* Daj już pokój! Nie chcę ci robić subiekcyi. Zadzwonię na Kasię *(dzwoni silnie)* — ona pozbiera.

LIPIŃSKA. To też będzie najlepiej. Byłoby niestósownem, gdyby twój mąż...

JADWIGA *(z intencją i przerywając.)* Byłoby stósowniejsem, niż zwijanie bawełny.

LIPIŃSKA *(b. spokojnie.)* O bynajmniej! Potrzymać damie jedwab lub nici, należało za moich lat młodszych do obowiązków młodego człowieka wyższego tonu, — tak samo, jak nosić za nią szal. — Posługę tę świadczyli mi książęta i hrabiowie, — a zatem mój zięć —

KASIA *(wchodzi.)*

JADWIGA. Śpilki upadły. Pozbieraj.

KASIA *(zebrawszy śpilki wychodzi.)*

LIPIŃSKA *(zdejmuje bawełnę z rąk Edwarda.)*

Dziękuję ci kochany Edwardzie. Dziękuję (*wstaje.*)
Moglibyśmy się przejść po ogrodzie.

EDWARD. Chciałem właśnie mamie zrobić tę propozycją. (*Idzie ku Jadwidze.*) Pójdiesz duszko z nami?

JADWIGA. Teraz nie mogę; — dziecko obudzi się niedługo.

LIPIŃSKA. Ależ przy dziecku jest mamka.

JADWIGA. O nie! ja znam obowiązki matki. Idźcie państwo naprzód. Przyjdę później z dzieckiem.

LIPIŃSKA. Pójdę tylko po kapelusz. Natychmiast powrócę (*wychodzi na lewo.*)

SCENA II.

EDWARD. — JADWIGA.

EDWARD. Nie pojmuję cię Jadwigo! Dąsasz się na mnie i gniewasz dla tego, że dla twojej mamy jestem uprzejmym. Tak przecie być powinno.

JADWIGA (*dąsając się.*) Nikt by ci tego nie brał za złe, gdybyś tylko mnie tak bardzo nie zaniedbywał. O! gdyby tu był twój ojciec, to by ci powiedział prawdę. Ojciec twój przyzna mi zawsze racją.

EDWARD. Ja ciebie zaniedbuję? — Jadwisiu? — Czyż wszystko, co czynię, nie czynię z miłości dla ciebie? Nie znaszże reguły, że: „Kto chce córkę poślubić, ten matki względy dla siebie pozyskać powinien?”

JADWIGA. Dobrem to może było przed słu-

bem, ale po ślubie niepotrzebujesz się stósować do tej reguły.

EDWARD. Przeciwnie, duszyczko moja. Twoja mama miała nieszczęście owdowieć bardzo wczesnie. Ty byłaś jedynaczką. Tobie poświęciła całą swoją miłość. Wiesz przecie, z jakimi musiałem walczyć trudnościami, zanim uzyskałem jej zezwolenie na nasz związek. — Wówczas miałaś dopiero lat szesnaście. Mama przywykła do ciągłej twojej obecności, wtedy dopiero przyzwoliła, gdy jej obiecałem, że się z tobą nie rozłączy. — Mama twoja atoli jest jeszcze zbyt młodą, zanadto przyzwyczajoną do życia w stolicy, zanadto spragnioną zabaw światowych, by mogła stale zasmakować w wiejskim życiu monotonnem. A i ty świetniejszą może byłabyś zrobiła partya w mieście, niż wychodząc za dziedzica jednej wioski. Zawsze to mam na myśli, i dla tego chciałbym matce twojej pobyt w moim domu jak najbardziej uprzyjemnić.

JADWIGA (*zawstydzona pada Edwardowi w objęcia.*) O mój najdroższy mężulku! jakżeż ja ciebie krzywdziłam, — ile przykrości wyrządziłam ci mojemi dzieciństwami, — a ty przecie jesteś taki dobry. — Ale nie mów tego, że mogłabym była świetniejszą zrobić partya! Czyż ty nie jesteś najlepszym, najszlachetniejszym z ludzi, którego kocham nad wszystko?

EDWARD (*ściska ją.*) Wiedziałem, iż uznasz, że nie miałaś racyi.

JADWIGA. Nie miałam racyi? Czyż nie mam racyi twierdząc, że pozwolisz się zanadto tyranizować mamie? Teraz na przykład masz z nią iść na przechadzkę. Dla czego nie poczekasz, aż nasza

dziecina się zbudzi, — a wtedy pójdziemy razem.

EDWARD. A mama, czyż ma chodzić sama po ogrodzie?

JADWIGA. Mama musi poczekać. A jeżeli chce wprzód pójść, to niech weźmie Kasię z sobą. — Ja bo sądzę, że mąż do żony należy. Nie prawda mężusiu, ty pójdziesz ze mną?

EDWARD (*wahając się.*) Tak — naturalnie — gdyby chciała wyjść z Kasią — mógłbym z tobą i z dzieckiem...

JADWIGA. Otóż tak, to dobrze, najserdeczniejszy mój mężusiu. Teraz dopiero poznaję, że żonę twoją i dziecko kochasz nad wszystko (*ściska go.*)

SCENA III.

Ci sami. — LIPIŃSKA.

LIPIŃSKA (*w kapeluszu i z szalem na ręku.*) Edwardzie, czy zimno na dworze.

EDWARD (*wyrrywając się z objęć żony.*) Dobrze mama zrobi, jeżeli włoży na siebie szal. Pozwól mama, (*pomaga jej.*)

LIPIŃSKA (*do Jadwigi*) Nie zapomnij Jadwisiu okryć ciepło dziecka, wiesz bowiem...

JADWIGA. Niech się mama nie troszczy. — Chodź Edwardzie, zobaczymy, czy jeszcze śpi. (*Biegnie do drzwi na lewo. Edward chcąc iść za nią, robi poruszenie.*)

LIPIŃSKA (*zdziwiona.*) Edwardzie, czy mi nie towarzyszysz? (*Podaje mu ramię.*)

EDWARD (*zakłopotany.*) Ja? — tak, naturalnie, owszem! (*biorąc łaskę i kapelusz cicho do*

Jadwigi:) Nie gniewaj się duszko. Wiesz, że nie mogę inaczej. (*Podając Lipińskiej ramię:)* Do widzenia Jadwisiu!

LIPIŃSKA (*wychodząc.*) Przyjdź prędko za nami, Jadwisiu, a nie zapomnij okryć dziecka. (*Edward odchodząc, robi za plecami Lipińskiej gesta usprawiedliwiającego jego postępowanie. Gdy już oboje wyszli przez drzwi środkowe, Jadwiga, która dotąd stała w osłupieniu, tupie nogą, ścisną za nimi pięście i rzuca się płacząc na krzesło, głowę kładąc na stolik.*)

SCENA IV.

JADWIGA (*wstaje po chwili nagle, oburzona.*) Nie! To nie do wytrzymania! Tak dalej być nie może. Albo ona, albo ja! Jedna z nas musi ustąpić! Ale ponieważ ja jestem żoną Edwarda i panią tego tu domu, zatem sędzę, że to mama będzie musiała dom ten opuścić. Jej panowanie tutaj jest nieznośne. Pół roku nawet jeszcze u nas nie bawi, a już mąż mój jest więcej jej mężem, niż moim. — A przecie dawniej była mama zawsze tak dobrą dla mnie!! — (*Z pocieszoną godnością:)* Gdy człowiek staje się starszym, to na niejedno otwierają mu się oczy. Mamie za nadto składają hołdów. Młoda jeszcze będąc panną, jaśniała w stolicy najświetniejszą pięknnością; wszyscy u nóg jej składali swoje serca, a biedny, dobry mój ojciec był jej największym wielbicielem i — niewolnikiem. Dziś jeszcze jest piękna, przytem pełna rozumu i dowcipu, pełna życia;... jednym słowem, dla mnie byłoby lepiej, gdyby się ztąd oddaliła. — Ale co

do tego, to z Edwardem trudna będzie sprawa. Ona go już tak oczarowała, że bez jej pozwolenia nie odważy się nic zrobić. Nic mi nie pozostaje, jak działać bez niego. — Co tu począć? (*Chodzi zamysłona, — znać, jak się bije z myślami, i — staje nagle, rozjaśniona, po chwili wykrzykuje:*) Mam już, mam! Mama musi wyjść za męża. Tak, tak! To będzie najlepiej i dla niej i dla nas. — Ja ją wydam za męża! — Hm! lecz za kogo? W tem sęk! Wielbicieli ma wielu, ale ci siedzą w stolicy, a tu potrzeba się spieszyć. — Hm! hm! Będzie to trudno — no! ale trzeba spróbować. (*myśląc*) Kto tu taki...?

SCENA V.

JADWIGA. PROFESOR.

PROFESOR (*lat około pięćdziesięciu, włos pęten, trochę siwiejący. Ubranie lekkie latowe i kapelusz słomkowy. W ręku siatka na motyle**) i bukiet polnych kwiatów. Na kapeluszu przyśpilonych kilka owadów, — na surducie kilka motyli. Zaglądając przez drzwi: Czy moja figlarna koteczka jest sama?

JADWIGA (*radośnie.*) A! pan profesor! Proszę wejść! proszę! (*kłaniając się ceremonialnie.*) Bardzo się cieszę z przybycia pana profesora.

PROFESOR (*przychodzi na przodek sceny, kłania się również ceremonialnie i podaje bukiet.*) Łaskawa pani, racz pani pozwolić... (*raptem spogląda na około siebie, tonem jowialnym*) Co ci się stało?

*) Można ją opuścić lub czem innem zastąpić.

Przecie tu mamy nie ma, której się nie podoba moja z tobą poufałość. (*ceremonialnie*) Ale może pani?..

JADWIGA. Ależ profesorze! Cóż to pan sobie myślisz o mnie? (*podaje mu rękę*) Znasz mnie przecie od dziecka.

PROFESOR. Ehe! i od tak maleńkiego! — Gdy byłaś ot tak maluteniczką, lubiłaś skubać moją brodę.

JADWIGA (*wzdychając.*) Ach profesorze, gdybym mogła raz jeszcze być młodą! (*Siada przy stoliku na lewo i zwiesza głowę.*)

PROFESOR. Cóż to za westchnienie rozdzierające serce? Przecie nie jesteś nieszczęśliwą w pożyciu z mężem? Żałowałbym, że skojarzyłem wasze małżeństwo.

JADWIGA. Nie! to nie! Edward jest dobry, ale jest słaby — jest słaby.

PROFESOR. Ale przecie nie jest złym mężem? (*Patrzy na Jadwigę figlarnie, — oboje się śmieją.*) I nic więcej? (*Odkłada kapelusz i siatkę i siada przy Jadwidze.*) Twój ojciec, a mój najstarszy i najlepszy przyjaciel, umierając zaklął mnie na wszystko, abym w każdej życia okoliczności był pomocnym jego gagatkowi. (*Jadwiga chce przerwać.*) No, tak jest, jego gagatkowi, boś ty była jego gagatkiem. Moj brat, proboszcz tutejszy, którego rok rocznie odwiedzam, powziął pierwszy myśl, czyby Edward nie był stósowną dla ciebie partyą. Obserwowałem go, podobał mi się, wprowadziłem go do domu twojej mamy i — . . . No, jak się tam ta wasza miłość zaczęła, o tem nie mogłem się nigdy

dowiedzieć, ale pewne kryte ganki i bżowe altanki umiałyby może nie jedno wyśpiewać.

JADWIGA. Ach profesorze! to były chwile uroczne.

PROFESOR. Wierzę! ano widzisz! gdyby też tak nie było, sumienie moje toczyłby robak... Ale! ale! à propos robaka... (*wyjmuje flaszkę z kieszeni*) Co powiesz na tego ogromnego robaka?

JADWIGA (*żywo.*) Ach jaki wielki!

PROFESOR. Takiego wielkiego jeszcze nie widziałem.

JADWIGA. Tak, ten jest bardzo o wielki (*nagle tonem melancholijnym,*) ale mój smutek jest o wiele od niego większy.

PROFESOR. Któż to, moje dziecko, tak ciebie zasmuca?

JADWIGA. Moja mama.

PROFESOR. Mama? — Hm! że też to rodzice nie chcą być posłusznymi dzieciom.

JADWIGA. Panu profesorowi łatwo sobie drwinki stroić ze mnie. Pan nie masz ani rodziców, ani dzieci, ani nawet żony. (*Widać na jej twarzy, że nagle myśl przyszła jej do głowy. Wstając:*) Dla czego pan się nie ożeniłeś!

PROFESOR. Bo — bo mnie żadna nie chciała.

JADWIGA. Żartujesz pan chyba, panie profesorze! Pan nigdy nie zadałeś sobie pracy, by zdobyć skarb taki. (*Przechadza się po scenie z rękoma założonemi na plecach i mówi tonem pouczającym:*) Pan sobie myślałeś: co mnie po żonie? mam książki. Co mi po dzieciach? dzieci?? ba! dzieci! na co mi dzieci? mam zbiory robaczek, owadów i motyli! — Takim to sposobem zmarnowałeś pan

najpiękniejsze lata, nie skosztowawszy nawet słodczy domowego szczęścia. — A z tego cóż za skutki? Wieczorem, powróciwszy z piwiarni lub z nudniejszego jeszcze klubu, gdzie pan całemi godzinami wtykałeś... nos w setki gazet rozmaitych, — a przytem kurzyłeś cygara i przesiąkłeś tytoniem, jak żołdak na odwachu, wchodzisz pan do samotnego pokoju; — nikt nie wybiega na przeciwko pana, — żaden głos pana nie wita, — żadne miękkie i drobne rączęta nie obejmują pańskich kolan ani nie wieszają się panu u szyji. Nikt nie dba o pańską wygodę. — (*Staje nagle przed nim, głosem podniesionym:*) A cóż wtedy dopiero będzie, jeżeli ciężka choroba rzuci pana na łożę boleści? Gdzież ta kochająca ręka, dbała o pana? Gdzież te lube dziateczki, które, łzami zalane, okoliłyby łożko pańskie? Czy pańskie stare, w odwieczny pargamin oprawione folianty ułożą ci może lepiej poduszki, albo też pańskie robaki i motyle litością zdjęte staną może przy twojem łożu? O! one to wtedy najbardziej radować się będą! (*Wskazując na motyle przypięte do surduta:*) Trupia główka wyszczerzy się na ciebie, — ćma nocna przysporzy ci melancholii, a grobarz kopaczyk ucieszy się, że tak szybko staniesz się pastwą jego kolegów! (*Głosem pełnym, jakoby błogosławiąc:*) Dla tego popraw się pan, zanim będzie zapóźno! Popraw się pan i ożeń jak najprędzej!

PROFESOR (*który na chodzącą Jadwigę długo spoglądał zdumiony, wstaje nagle.*) A ty mały chochliku! Zkądże tobie przyszło do głowy prawić mi podobne cudactwa? Jesteś rzeczywiście w stanie człowiekowi w głowie przewrócić. Dziś jeszcze wy-

rzucę za okno wszystkie te stare rupiecie. Któż ciebie do licha nauczył, jakie są cierpienia starego kawalera? O pomyślałem sobie już nieraz, że gdybym znalazł odpowiednią żonę, to możebym się i ożenił.

JADWIGA (*wesoło.*) Tak?! Tak pan sobie pomyślałeś? (*Popycha go gwałtem ku krzesłu i sadza nań.*) Dobrze więc! mam żonę dla pana.

PROFESOR. Co? chcesz rzeczywiście, bym się ożenił?

JADWIGA. Tak jest! chcę, byś się pan ożenił. Przedsięwzięłam sobie ożenić pana koniecznie.

PROFESOR. Doprawdy? — Moje dziecko pozwalam sobie stroić ze mnie żarty.

JADWIGA. Nie profesorze! ja nie żartuję. Biorę rzecz na seryo, a żona, którą panu przeznaczam, jest — moja matka.

PROFESOR (*wstaje przestraszony.*) Najśłodszy Panie! I ty to mówisz na seryo?

JADWIGA. Najzupełniej! Pana ta propozycja zadziwia?

PROFESOR (*żalownie.*) Bardzo! Jakże ci też taka myśl mogła strzelić do głowy?

JADWIGA. Mama moja jest jeszcze za młodą, by tu w kącie sofy odgrywała rolę babuni, — jest przyzwyczajoną rozkazywać wszystkim, — mnie uważa za głupie jeszcze dziecko i nie chce mi przyznać tego szacunku, który, będąc mężatką, wymagać mam prawo!... No! jednym słowem — byłabym szczęśliwą, gdybym — — mogła — — się pozbyć mamy z mojego domu.

PROFESOR. A twoje szczęście chciałabyś okupić mojem nieszczęściem?

JADWIGA. Jako nieszczęściem? jeżeli mama wyjdzie za pana?

PROFESOR. Czy ona objawiła podobne życzenie?

JADWIGA. Nie. Lecz jeżeli oboje przedstawimy jej przekonywająco . . . Moja mama zawsze pana bardzo lubiła.

PROFESOR. Oho! mała kłamczyni!

JADWIGA (*prędko*.) Jakże często dawała mama pana papie za przykład słodyczy i uległości.

PROFESOR. Tak, — aż dopóki nie dostała twojego ojca pod swój pantofel.

JADWIGA. Wszyscy mężowie są pod pantoflem, chociaż nie wszyscy się do tego przyznawają. (*Sadza profesora na krzeselko*.) Zważ pan! Edward nie jest moim mężem; mama opanowała go zupełnie i zabiera mi go zawsze. „Jak mam to zrobić mamo?“ — „Jakież mamy zdanie?“ „Ponieważ mama sobie tego życzy!“ „Mama ma rację, Jadwisiu.“ „Mama musi to wiedzieć najlepiej!“ Takie i tym podobne słowa słyszę codziennie! Tego już nie zniosę dłużej (*placze*.) A jeżeli pan mi nie dopomożesz, panie profesorze, to umrę ze zmartwienia.

PROFESOR (*trwożliwie i troskliwie*.) Nie płaczże gołąbku mój, — wiesz jaki mi smutek twoja przykrość sprawia . . . Uczynię chętnie . . .

JADWIGA (*nagle ucieszona, żwawo*;) Tak?

PROFESOR. To jest — rozmyślę się. Ale ja znam twoją mamę. Studyowałem ją dokładnie. Możesz sądzić, że dama z usposobieniem tak arystokratycznym . . . ?

JADWIGA. Przodków pamięci uczyniła mama zadosyć, idąc za mąż za mojego ojca. (*mędrkująco*;))

Wierzaj mi pan, ja znam kobiety. Kobiety lubią zmianę. Pan nie jesteś człowiekiem zwyczajnym; pan jesteś uczonym, posiadającym sławę; pan jesteś członkiem wielu uczonych towarzystw, — posiadasz złote medale, — zdobią cię także ordery i rozmaite krzyże...

PROFESOR. Do których chcesz mi przydać jeszcze krzyż domowy? . .

JADWIGA. Pan jesteś jeszcze przystojnym mężczyzną.

PROFESOR. Tak sądzisz?

JADWIGA (*poprawia mu toaletę i gładzi włosy z czoła.*) Taka rozumna kobieta, jak moja mama, zrobiła by z pana jeszcze coś więcej.

PROFESOR. Tak nęcącemi barwami malujesz to wszystko, że przychodzi pokusa człowiekowi.

JADWIGA (*patrzy przez okno.*) Otóż mama właśnie idzie sama aleją, to się dobrze zdarza.

PROFESOR (*prędko:*) W takim razie uciekam! (*chwytą za siatkę.*)

JADWIGA. Jakto? Pan musisz tu zostać.

PROFESOR (*zaambarasowany.*) W tem ubraniu?

JADWIGA. Mama widziała już pana w tem ubraniu.

PROFESOR. To prawda, — ale to ubranie nie uchodzi teraz — a potem (*bojaźliwie*) wolałbym się nie żenić. (*Chce wyjść.*)

JADWIGA (*zastępuje mu drogę, energicznie:*) Profesorze, musisz się ożenić!

PROFESOR. Doprawdy? ja nie widzę potrzeby.

JADWIGA. Ależ przecie mówiłeś sam.

PROFESOR. Tak! Ale twoja matka tego nie mówiła.

JADWIGA. Nie wypuszczę ztąd pana. (*chce go schwycić.*)

PROFESOR (*zastawia się siatką:*) Apage!

JADWIGA (*miętko.*) Panie profesorze, zważ pan swoje osamotnienie.

PROFESOR. Potrzebuję samotności.

JADWIGA. Jeżeli zachorujesz?

PROFESOR. Wystrzegać się będę choroby.

JADWIGA. Gdy umrzesz?

PROFESOR. Nie umrę nigdy! posiadam sławę, jestem przeto nieśmiertelny.

JADWIGA (*wpada w zapał coraz bardziej.*) Pomyśl pan o robaczkach, które otoczą pańskie łożo!

PROFESOR. Wolę robaczki niż żonę, któraby mnie chciała opanować, — którą musiałbym prosić o pozwolenie, gdy zechcę pójść do klubu lub wypalić cygaro.

JADWIGA (*glosem podniesionym:*) Rozważ sobie dobrze, panie profesorze.

PROFESOR. Otóż właśnie chcę sobie rozważyć. (*już we drzwiach:*) Ale, jeżeli ci nie odpowiem osobiście po upływie dwudziestu czterech godzin, to będziesz wiedziała, że z tej mąki chleba nie będzie. Bywaj mi zdrowa figlarko! Jeżeli masz jakie polecenie do stolicy, przyślij mi je na probostwo. Za pół godziny odjeżdżam. (*wybiega szybko.*)

SCENA VI.

JADWIGA (*sama.*) A to poczwara dopiero, ten profesor! (*siada zmęczona.*) Nie udało mi się go złapać. Nie! On mamę zna. Ale właśnie dla tego, że oboje tak dokładnie się znają, byłoby z nich

małżeństwo dobrane, — jestem o tem przekonana. — Ach! jak to trudno wydać matkę za mąż!

SCENA VII.

JADWIGA. LIPIŃSKA.

LIPIŃSKA (*wchodzi przez drzwi środkowe, gniewna.*) A to mi się jeszcze nie zdarzyło. Terazniejsi mężczyźni nie umieją być grzecznymi dla kobiet. (*siada.*)

JADWIGA. Któż to ci ubliżył mamó?

LIPIŃSKA. Kto! Edward! Twój Edward.

JADWIGA. Edward? ależ to nie podobna! On, który ci służy jak pudełek? Edward miałby...

LIPIŃSKA. Tak jest! Edward! W ogrodzie, tam gdzie aleje się krzyżują, spotkaliśmy jakiegoś robotnika. Ten kiwa na Edwarda; obydwaj idą na bok, szepeczą w mojej przytomności, Edward mnie prosi, bym przechadzkę sama odbyła, — bełkocze coś o jakimś panu, o jakichś interesach, zdejmuję kapelusz, zostawia mnie samą na środku aleji i — biegnie z robotnikiem owym ku pawilonowi.

JADWIGA (*spokojnie.*) Edwarda, moja mamó, muszę wziąć w obronę. Kto sam administruje wieś, ten nie jest nigdy panem swojego czasu. My tu na wsi mamy obowiązki, o których dama z miasta ani nie zamarzy.

LIPIŃSKA. Te obowiązki nie zdają się tobie ciężyc zbytecznie. (*Zdejmuje przed lustrem kapelusz, uklada włosy i opowiada dalej.*) Ale to nic jeszcze. Edwarda niedelikatność została przewyższoną przez profesora, którego zachowanie się dzi-

wne, prawie śmiesznem nazwać by można. Z daleka już spostrzegłam go wychodzącego z dworu. Wszakże zamiast przyjść na przeciwko mnie, jak zawsze, zboczył i poszedł w kierunku stawu. (*Jadwiga zaczyna się śmiać głośno, ale się powstrzymuje*), jakoby chciał mi zejść z drogi umyślnie. — Przystanąłam, i on przystanął. Pomyślałam sobie: profesor mógłby Edwarda zastąpić; — idę więc ku niemu, — a on — nie ukłoniwszy mi się nawet, zwraca się i ucieka tyłami ogrodu, lekliwie się oglądając, jakby się mnie obawiał. (*Jadwiga śmieje się jak poprzednio.*) Nie pojmuję, co mu się stało!

JADWIGA. Ależ moja mamó! czy mamę w ostatnich czasach nie uderzyło postępowanie profesora?

LIPIŃSKA. Nie! Nie wiem o niczem.

JADWIGA. Mama, taka znawczyni ludzi i serc ludzkich, nie miałabyś była spostrzedz, że tutaj (*wskazuje na serce*) u profesora nie wszystko jest w zupełnym porządku.

LIPIŃSKA (*śmiejąc się*). Ach! to są stare dzieje. Zamiast serca nosi on w tem miejscu jakieś dzieło o historii naturalnej.

JADWIGA. O nie! on jest zakochany.

LIPIŃSKA (*niedowierzająco*:) Kto? profesor?... No tak, w swoich owadach i robakach.

JADWIGA. O nie! mamó! wszystkie te rupiecie wyrzuci dziś jeszcze przez okno. Jak pragnę zbawienia, to są jego własne słowa; — tu je powiedział.

LIPIŃSKA. To nie podobna. I ty znasz przedmiot jego miłości?

JADWIGA (*potakując znacząco głową i skła-*

niając się ku niej, tajemniczo:) Przedmiotem jego miłości jesteś ty — mamó!

LIPIŃSKA (*chce się uśmiechnąć; twarz jej przybiera wyraz milej niespodzianki.*) Ach! ten nieoceniony profesor. (*Rzuca spojrzenie w lustro i chwytając w niem uśmiech figlarny Jadwigi; — odwraca się i po chwili grozi jej palcem.*) Ty figlarko.

JADWIGA (*kładzie rękę na serce, bardzo seryo:)* Zaręczam mamie.

LIPIŃSKA. No, no, nie potrzebujesz zaręczać. Tak dalece znów mnie to nie dziwi. Stary przyjaciel domu, — poznał nas wszechstronnie w wszystkich życia okolicznościach, — prawie bym powiedziała: studiował nas...

JADWIGA (*nie mogąc się powstrzymać dłużej.*) To są jego własne słowa. On ciebie zna, mamó; zna ciebie na wskroś! (*wahająco:)* On nie chciał, ale ja mu powiedziałam, że się odważę.

LIPIŃSKA. Na co?

JADWIGA (*j. w.*) Wybadać, — czybyś, — czybyś mama nie podzieliła jego uczuć? (*Mała pauza.*)

LIPIŃSKA (*rzucając w lustro długie spojrzenie.*) Moje dziecko, schlebia zawsze kobiecie, jeżeli...

JADWIGA. W mamy latach...

LIPIŃSKA (*odwraca się i mierzy wzrokiem córkę.*) Jeżeli się jest matką córki dorosłej.

JADWIGA. ... I babką —

LIPIŃSKA. Ależ Jadwisiu.

JADWIGA. Jużcié prawda! — Przecie mama nie zechce się zaprzecć mojego dzieciszczka? — ...Więc przyjmujesz oświadczyny naszego dawnego przyjaciela?

LIPIŃSKA. Co tobie się roi po głowie? — Profesor może sobie być wybornym człowiekiem, — wielkim uczonym, — ale ani posiada form ani manier światowych. Gdybym miała jeszcze pójść za mąż, o czem ani myśleć... Hm! jakby to złe języki się natrzęsały, że ja... będąc babką... tego przecie nie można odrozumować!... Nie! nie! Choć znów (*rzuca spojrzenie w lustro*) nie można zaprzeczyć, że się dobrze, bardzo dobrze zakonserwowała... Gdybym się wreszcie zdecydowała, to tylko człowiek salonowy i światowy mógłby mieć jakieś widoki... (*wstaje.*) Co ja też plotę! (*bierze kapelusz, idzie przed lustro i poprawia ubranie.*)...Gdybym jeszcze miała gwarancją, że za lat przynajmniej dziesięć... równie dobrze zakonserwowaną będę... (*Obraca się z głębokim westchnieniem i zabiera się do wyjścia.*) Ach!! przyroda głupio się urządziła, nie zostawiając człowiekowi, temu królowi stworzenia, — młodości wiecznej. (*wychodzi na lewo.*)

SCENA VIII.

JADWIGA (*sama.*) Proszę! ta mama! Wygląda na wiek swój śmiesznie młodo, a jeszcze życzy sobie pozostać wiecznie taką samą. — A jaka z mamy kokietka! Co trzecie słowo spogląda w lustro. Dawniej tego tak nie uważałam... A ten jej wdzięczący się uśmiech?! Tym to uśmiechem, zdaje mi się, podbiła sobie mojego Edwarda. ...Ona musi dom mój opuścić!! ...A jaka wybredna w tych latach: „tylko człowiek światowy i pełen dobrych manier mógłby jej się podobać“... (*myśląc.*) Hm! Kogoż by tu wynaleźć w tym guście?

SCENA IX.

JADWIGA. LOKAJ. BARON KRZEMIENIECKI.

LOKAJ (*meldując.*) Pan baron Krzemieniecki.

JADWIGA. Baron Krzemieniecki, sąsiad nasz najbliższy! Czemuż on mi zaraz nie wpadł na myśl? (*głośno.*) Prosić. (*Lokaj wychodzi.*) Otóż mamy człowieka salonowego i światowego.

BARON (*wch. przez drzwi środkowe. Lat blisko sześćdziesiąt; — stary wietrznik, człowiek bardzo salonowy, — nie powinien być grany zanadto szarżowano.*) Dzień dobry mojej ślicznej sąsiadeczce.

JADWIGA. Dzień dobry kochanemu panu, panie baronie. Kiedy pan powróciłeś z podróży?

BARON. Wczoraj. Trzy dni tylko bawiłem. — Nieznośny dziś pobyt w mieście, szkaradna atmosfera! co? Strąciłem też kurz miejski z nóg moich — i — (*włożył był szkiełko w oko i obejrzał się kilka razy.*)

JADWIGA (*uważając jego spojrzenia.*) Magnes, który pana przyciąga do Łaskowa, zamknął się właśnie, zmęczony przechadzką, w swoim pokoju. Musisz pan się zadowolić moją tylko obecnością. (*Siada i wskazuje baronowi krzesło.*)

BARON (*zaambarasowany.*) O — pani Łaska-wa — jestem w siódmym niebie.

JADWIGA (*żartobliwie.*) Nie wymawiaj się pan, panie baronie! Tu jest dwoje ócz, które uważają dokładnie. Wyznaj pan, że moja mama uczyniła na panu wrażenie? Czy nie tak?

BARON (*jak poprzednio.*) Nie wiem doprawdy, pani mnie ambarasujesz. Ubóstwiam panią Lipiń-

ską od lat wielu, — i sędzę, — chociaż nie jestem zarozumiała, że — gdyby papka pani był się spóźnił z swojemi oświadczynami o godzin dwadzieścia cztery, ja może dziś byłym pani papką. Co? — Lecz moje przeznaczenie chciało, że nie mogłem nigdy wejść w posiadanie tak pięknej kobiety i tak ślicznej córeczki.

JADWIGA. Czy bez natręctwa można pana barona zapytać? . . . ale proszę pana, dla czegoż pan nie siada? — Jakżeż to się stało, że pan dotąd się nie ożeniłeś?

BARON (*siadając.*) Toć to jest właśnie moje przeznaczenie. — Po trzykroć już pałając ogniem najgorętszej miłości, chciałem się rzucić w otchłań małżeńską i po trzykroć napotkałem na góry moralnych lodowców, które mnie na całe lata znów oziębily. — Sprzykrzy się to nareszcie. Co? — Mama pani była moją pierwszą — mógłbym powiedzieć — moją jedyną miłością. Gdy się zdecydowałem pójść i oświadczyć się jej, — (widzę się jeszcze przed lustrem, pamiętam jak dziś, — właśnie sobie zapinałem drugą rękawiczkę i w duszy kontent z siebie, poświsitywałem aryę z najnowszej operetki) w tem wchodzi do pokoju służący i oddaje mi bilecik. Bilecik ten zawierał doniesienie o odbytych zaręczynach mamy z ojcem pani. Skandaliczne to! co? — Lat kilka potrzebowałem, by po ciosie tym przyjść do siebie. — Miałem drugi raz zamiar żenić się. Wyfrakowany i wyperfumowany przychodzę z wizytą w zamiarze oświadczenia się o rękę panny. Rodzinę całą znajduję w usposobieniu radosnem. Nie mogłem sądzić inaczej, jak że się cieszą z mojego przybycia. Ojciec panny

prosi mnie do drugiego pokoju i tam przedstawia mi parę dopiero co zaręczonych gołąbków . . . Narzeczoną, nie potrzebuję dodawać, była jego córka, moja, moja panna, której ja właśnie przyszedłem oświadczyć się. To blamaża! Co? — I znów po latach kilku chciałem popróbować szczęścia u dziewicy trochę już przywiedłej. Ta starsza — młoda panna wyprasza sobie cztery tygodnie do namysłu. Gdy po upływie tych czterech tygodni przyszedłem z prośbą o odpowiedź ostateczną, — dowiaduję się, że owa zacna dziewica korzystała z moich oświadczeń, by innego wielbiciela decyzją przyspieszyć, — w którym od wielu już lat się była kochała. Okrucieństwo! co? I otóż widzisz pani we mnie nieszczęśliwą ofiarę opóźniania się z wykonaniem najszczerzych zamiarów.

JADWIGA. Dla czegoż pan, panie baronie — zanim nie będzie za późno, nie miałbyś spróbować szczęścia po raz czwarty?

BARON. Teraz jeszcze? w moim wieku? — Któraż panienka mogłaby się zdecydować, by staremu jak ja kawalerowi . . .

JADWIGA (*przerywając*.) Ech! co tam staremu . . . Moja mama mówi, że mężczyzna nie starzeje się nigdy.

BARON (*ucieszony*.) Pani Lipińska twierdziła, że mężczyzna nigdy się nie starzeje? — Cóż to za nieoceniona i pełna rozumu kobieta! Prawdę powiedziała, oczywiście. Co?

JADWIGA. Czyż tylko panienkom potrzebujesz pan składać hołdy? Sądzisz pan, że ludzie nie miarkują, iż pan odwiedzając Łasków, grzeczności swoje ku mojej mamie kierujesz?

BARON. Miałbym być być aż do tyle grzecznym, że nawet ludzie to zauważali? Co?

JADWIGA (*servo.*) Tak jest, panie baronie! — Pan kompromitujesz moją mamę i zmuszasz mnie do pomówienia z panem na seryo. (*przedzej.*) Dla czego pan jej się nie oświadczysz? Dla czego pan nie nie mówisz? co?

BARON (*nie może zaraz przyjąć z zdumienia do siebie.*) Co?... mój Boże, jakże często już miałem ten zamiar na myśli! — Gdy postać ta tak piękna i imponująca przedstawia się oczom moim, zapominam zupełnie, że lat minęły dzieśiątki od naszego pierwszego poznania się! Posiąść ją, byłoby dziś jeszcze mojem najgorętszem pragnieniem; — ale moja niedecydywność i potem... takie już moje przeznaczenie!

JADWIGA. Tutaj panu nikt przecie nie przeszkadza. Mama tu żyje jak w klasztorze. Że pan nie jesteś jej obojętny, mogę na pewno przypuścić. Dziś właśnie wyraziła się, że tylko człowiek salonowy i światowy mógłby mieć do jej ręki widoki. Kogoż innego mogła mieć na myśli, jeżeli nie pana?

BARON. Doprawdy to mówiła? co?

JADWIGA. Pokaż pan światu, że mężczyzna może osiągnąć wszystko cierpliwością i wytrwałością! — Jakżeż by panu zazdrozczono, gdybyś prowadząc pod rękę moją, jak mówisz, piękną i imponującą mamę, wszedł z nią na salę balową. Wtedy także wszedłbyś pan od razu (*figlarnie*) w posiadanie pięknej żoneczki i...

BARON (*w uniesieniu zapomina się i obejmuje Jadwigę w pól.*) I ślicznej córeczki.

JADWIGA (*wyrywa się i spogląda na niego zdumiona.*)

BARON. Pardon! przepraszam! (*przychodzi do siebie.*) Uczucie moje ojcowskie uniosło mnie. Pani zwalczyłaś moje wątpliwości! Raz jeszcze rzucę się w wir namiętności! — Pędem koni moich wracam do domu, przebioreę się stósownie w frak i powrócę, by z pani ślicznych rączek otrzymać moje szczęście. — Zrobi to ogromną sensacją. To lubię. Bo prócz tego, że będę młodym małżonkiem, otrzymam za jednym razem godność dziadunia. Co? — Do widzenia moja prześliczna córeczko. (*Wychodzi szybko rzucając Jadwidze rękoma całusy.*)

SCENA X.

JADWIGA (*sama. Oddycha głęboko.*) Jakież to szczęście, że na wydaniu mam tylko mamę! Teraz dopiero pojmuję troski i emocje matki mającej pięć córek dorosłych na wydaniu! — Jeżeli żaru miłosnego barona nie ochłodzi szybka jazda po kamienistej drodze i jeżeli baron potrafi schwycić mamę za jej słabą stronę — próżność, to sędzę, że plan mój uda się szczęśliwie. (*Zamyśla się.*)

SCENA XI.

JADWIGA. EDWARD. WOŁOWICZ.

EDWARD (*spogląda przez drzwi i mówi poza siebie:*) Można. Jest sama. (*Do Jadwigi.*) Otwórz, duszko, twoje ramiona, ale stłum okrzyk radości. (*Wchodzi Wołowicz; lat pięćdziesiąt; piękny jeszcze i elegancki mężczyzna bez najmniejszej przesady.*)

JADWIGA (*b. ucieszona.*) Ach! papa! Jakżeż się cieszę! (*Biegnie ku Wołowiczowi, który nie pozwala się uściskać, podczas gdy Edward daje znak, by milczała.*) Cóż wam to takiego? Dla czego nie mam głośno objawić mojej radości z przybycia kochanego papy?

EDWARD. Chcemy mamie zrobić niespodziankę.

JADWIGA. Otóż to znowu coś nowego. Mnie to nie można robić niespodzianek; — wszystko się robi tylko dla mamy. — O papeczko drogi, przybyłeś w samą porę. — Ale zkadżeż wracasz tak niespodziewanie? Porzuciłeś nas prawie nagle, — nie chciałeś o nas nic wiedzieć, — pojechałeś do Włoch, — tam kupiłeś sobie wille, — listy twoje opisujące Włochy warte są druku, a teraz..

WOŁOWICZ (*sluchał ją w zachwycie.*) Teraz — jestem znów z powrotem, bo tęsknota za krajem przeniosła woń naszych polnych kwiatów nad wszelkie pomarańczowe i cytrynowe gaje, — bo musiałem odszukać ludzi dobrych i poczciwych, których kocham, z którymi mogę znów czuć i rozmawiać po polsku. (*Bierze ją za rękę.*) No! i jakże mi się miewasz, moja najdroższa córuniu?

JADWIGA. Dziękuję papie! Dobrze się miewam, chociaż — nie zawsze (*rzuciła spojrzenie na Edwarda.*)

WOŁOWICZ. Nie znać po tobie choroby. A moje wnuczę?

JADWIGA. Prawda, papa nie widziałeś jeszcze naszego synka. Jest prześliczny i do papy podobny. Niech papeczek poczeka chwileczkę. Przyniosę zaraz naszą dziecinę. (*Wybiega prędko przez pierwsze drzwi.*)

EDWARD (*wołając za nią.*) Zostań Jadwisiu! możemy przecie wszyscy razem pójść do dziecinnego pokoju! — (*Do ojca.*) Czy ona sama nie dziecko? Nie zmieniła się wcale, tylko na swojego synka jest dumną.

JADWIGA (*powraca.*) Szkoda. Mamka wyszła z dzieckiem do ogrodu — za moim rozkazem — dziecko bowiem potrzebuje dużo świeżego powietrza, — także snu i dobrego pokarmu! O tak! O wychowaniu dzieci przeczytałam ot takie grube książki. A mamkę mamy, że aż chętna bierze samemu znów zostać dzieckiem. Nie prawda Edziu?

EDWARD (*śmiejąc się.*) Prawda, że nasza mamka to tęga kobieta!

JADWIGA Mój Edzinku! mógłbyś jej poszukać w ogrodzie. Niech tu przyjdzie z dzieckiem.

EDWARD. Czyżby nie mogła Kasia...

JADWIGA. Nie mężusiu, idź sam, proszę cię. Mam z papą coś pomówić.

EDWARD. Będę posłusznym. Ale mnie nie za nadto obgaduj przed ojcem. (*Wychodzi.*)

SCENA XII.

JADWIGA. WOŁOWICZ.

JADWIGA. Niech ojczuszek rozgości się z łaski swojej i usiądzie wygodnie. (*Przysuwa mu krzesło.*) Widzisz papusiu, ty jesteś taki dobry! ale Edward...

WOŁOWICZ (*siadając.*) Edward nic nie wart?

JADWIGA. Tego nie mówię... Edward jest także dobry, — ale...

WOŁOWICZ. No cóż? ale?...

JADWIGA (*spogląda na okolo siebie. Tajemniczo:*) Moja mama musi opuścić ten dom.

WOŁOWICZ (*zdziwiony.*) Oho?! — (*po pauzie i namyśle:*) Hm! hm! świekra — naturalnie nie może się zgodzić z Edwardem?

JADWIGA (*żywo.*) Ale gdzieżtam! Przeciwnie! W tem właśnie moje nieszczęście! Oni za nic mnie nie mają.

WOŁOWICZ. Czy być może?

JADWIGA. Są tak z sobą, jakbym nie ja była żoną Edwarda, lecz moja matka, — a on jej słucha tak, jakby ona była jego żoną, a nie ja.

WOŁOWICZ (*uśmiechając się.*) To są bardzo smutne stosunki rodzinne!

JADWIGA. No! tak bardzo smutne one nie są, — ale — mnie się nie podobają.

WOŁOWICZ (*j. w.*) Stałaś się nadzwyczajnie samodzielną.

JADWIGA. Dotąd nie jeszcze, ale chciałabym nią być.

WOŁOWICZ (*j. w.*) Więc pragniesz, by mama dom twój opuściła? Jakże tego dokażesz?

JADWIGA (*sucho.*) Wydam ją za męża.

WOŁOWICZ (*zdziwiony.*) Ty?! (*Odtąd przestaje się uśmiechać i słucha coraz uważniej.*)

JADWIGA. Tak jest, ja! Mam już dla niej męża.

WOŁOWICZ. Także?

JADWIGA. Myślałam najprzód o profesorze, ale taki stary, w pergamin oprawiony mól nie ma pociągu — do takiej mamy. Nie ma odwagi.

WOŁOWICZ. Któż więc ma tę odwagę, jak ty nazywasz?

JADWIGA. Baron Krzemieniecki.

WOŁOWICZ. Baron Krzemieniecki? wasz sąsiad? Zkądże ten ci na myśli?

JADWIGA. Mój ty święty Boże! Wyboru nie mam tu wielkiego, — a mama marzy, — wiem to na pewno, — o człowieku światowym i salonowym, gładkie posiadającym formy. — Kiedyś także wspominała o przyjacielu sercu jej drogim, który w skutku oświadczenia się szybkiego mojego ojca o rękę mamy stał się bardzo nieszczęśliwym, a nad którym ona się lituje. Papa zaś wiesz, że od litości do miłości krok tylko jeden.

WOŁOWICZ (*wesoło*.) I to baron miałby?... Czy ty się nie mylisz?... Ale powiedz mi, jakąż dla mnie w tem wszystkiem przeznaczasz rolę?

JADWIGA. Papa przygotujesz moją mamę na przybycie barona i namówisz ją, aby jemu swoją rękę oddała. — Papa jesteś głową rodziny. Twoje zdanie wiele u mamy znaczy.

WOŁOWICZ. A baron, — ten stary błazen, — który z pewnością jest odemnie starszym o lat przynajmniej ośm, — onby chciał na prawdę?...

JADWIGA. Baron powróci za pół godziny. — Nie prawda, papeczko, że mi dopomożesz? Biegnę zaraz do mamy. Powiem jej, że ktoś obcy pragnie z nią pomówić. Nie powiem jej, kto taki. Mama przyjdzie, zastanie ciebie, papusiu. Papeczek mój ułoży wszystko i zasłuży sobie na błogosławieństwo dzieci i wnuków. — Panie najśłodszy! synka mojego musi papa zobaczyć. Biegnę po mamę. (*Wiesza mu się u szyji*.) Wywiąż się dobrze z zadania, najdroższy mój ojczulku. (*Wybiega na lewo*.)

SCENA XIII.

WOŁOWICZ (*sam. Budzi się z ostupienia.*)
Wszystko znajduję inaczej, niż się spodziewałem. — Cóż mnie wypędziło z Włoch do Polski? Byłaż to jedynie tęsknota za rodzinnym krajem, za powietrzem ojczystym? czy też może tęskniłem za szczęściem, którego nie doznałem w młodości, a które, ujrawszy jak szczęśliwe są te dzieci, takimi żywymi barwami przedstawiło się oczom moim, że — wołałem uciec od niego hen daleko!... Uciekłem, bo sądziłem, że jestem już za stary, by mi było wolno rozżarzać serce moje taką namiętnością!... A przecie powróciłem!... Dla czego powróciłem?... Ha! czemużbym nie miał jeszcze rozgrzać dni moich jesiennych słonecznym promieniem ciepłej miłości, zanim starość zima mroźnym uściskiem stłumi serca mego bicie? Dla czegoż by nie? Jesień bywa czasami tak czarująco piękną!

SCENA XIV.

WOŁOWICZ. LIPIŃSKA.

LIPIŃSKA (*wch. drzwiami, któremi wyszła Jadwiga.*) Pan Wołowicz?! Pan tu! (*Idzie szybko ku niemu wyciągając obie ręce, które on całuje.*) A to niespodzianka! — Więc to pan kazałeś odwołać Edwarda od mojego boku? (*Wołowicz potakuje patrząc na nią z zachwytem.*) Często w zimie i w lecie myśleliśmy o panu. Naszemu kółku brakło pańskiej obecności.

WOŁOWICZ. Czy i pani uczułaś ten brak?

LIPIŃSKA. Nie ja jedynie, my wszyscy. — Pan tak na mnie spoglądasz, jak gdybyś mi nie wierzył.

WOŁOWICZ. Wierzę ci, pani droga, wierzę. Nie mogłem siebie pozbawić na zawsze twojego, pani, drogiego widoku. Po tak długim rozłączeniu znajduję te same śliczne rysy oblicza, któremi, panną jeszcze, pani mnie zachwyciłaś.

LIPIŃSKA (z westchnieniem.) Komu to mówisz, panie kochany? Starej już kobiecie?

WOŁOWICZ. Starej? Fe! Tego słyszeć nie chcę, tem mniej z ust twoich, pani i zastósowanego do ciebie. Dla czegoż umyślnie ścierać pyłek z kwiatów wspomnienia? Kto młodość serca zachował, ten starym nie jest bynajmniej.

LIPIŃSKA. Tak pan sądzisz?

WOŁOWICZ. I inni tak sądzą... Dwóch ludzi równych sobie stanowiskiem dobijają się o twoją, pani, rękę. Obydwaj kochali ciebie; obydwom wszelką nadzieję odebrał węzeł twój małżeński; obydwaj miłość tę przechowali w sercach swoich. Podjąłem się być ich swatem. — Jeden z nich, arystokrata krwi najczystszej, jest mimo kilku słabostek kochany i szanowany we wszystkich warstwach społeczeństwa. — Drugi nie ma w swym rodzie przodków herbowych, ale nauką, pracą i uczciwością dorobił się majątku i znaczenia u ludzi. Chwalić go nie przystoi mi, — bo tym drugim jestem ja sam. Nie jestem już młodym, by móżdż uczucia moje odziewać w słówka ozdobne, ale to wiedz pani, że serce moje równie gorąco bije dla ciebie, Heleno, jak w ów dzień zabiło, gdy dzierżawcą jeszcze będąc na dorobku,

ujrzałem ciebie na imieninach twej ciotki! Odrzuć pani, błagam, wszystkie zawady, któreby może w tem się skupiły, że córkę masz zamężną. Oboje mamy natury giętkie; posiadanie takiej czarującej córeczki, która jest na poły już moją także, ścieśniłoby jeszcze nasz węzeł. — Mój współzawodnik . . .

LIPIŃSKA. Ani słowa o nim . Nazwisko jego mnie nie obchodzi. — Moi rodzice nie zezwolili na związek mój z człowiekiem nie mogącym się wykazać tarczą herbową, ani nawet dostatecznym wówczas majątkiem. Ja zaś, napojona wyobrażeniami, jakie mi dało wychowanie, oddałam rękę krewnemu, który się szczycił ośmnastu przodkami i posiadał znaczny majątek. Małżeństwo nasze nie było szczęśliwe. . . Pan znów ożenił się na przekór z kobietą, której nie kochałeś nigdy, i przez długie lata znosiłeś pęta bolesne. — Mnie pozostało wiele do naprawienia i do nagrodzenia panu. Kobieta dojrzała powraca dziś do swego przyjaciela młodości, który o niej nie zapomniał. Serce moje również nie zapomniało ciebie Józefie i dla tego to z pełnem uczuciem oddaję ci moją rękę. (*Poddaje mu rękę.*)

WOŁOWICZ (*z uniesieniem całując jej rękę.*)
Heleno moja! czynisz mnie niewymownie szczęśliwym.

SCENA XV.

Ciż sami. JADWIGA.

JADWIGA (*wch. przez drzwi środkowe.*) Wybaczcie państwo, jeżeli przeszkadzam. (*Odciąga*

Wołowicza na bok.) Jakże ci się, ojczulku, udało?
Czy zezwala?

WOŁOWICZ. Zezwala.

JADWIGA. A to wybornie. Barona tylko co nie widać.

WOŁOWICZ. Baron? a prawda! Moje dziecko, popełniłem ciężką zbrodnię i o baronie ani wspomniałem.

JADWIGA (*przełęczniona.*) Ależ papo! mówiłeś przecie, że mama zezwala.

WOŁOWICZ. Mówiłem prawdę. — Ale ja niegodziwiec działałem podstępnie i oświadczyłem się sam o mamy rękę, a mama nie jest przeciwną.

JADWIGA (*ucieszona.*) Brawo! niech żyje papa! A to wybornie ojculek się spisał! — Jaka ja byłam głupia, że o tem nie pomyślałam, co przecie leżało na dłoni.

LIPIŃSKA. Cóż to za tajemnice?

JADWIGA. Nic, mamucho, nic! (*cicho do Wołowicza:*) Niech papa mnie nie zdradzi. (*Całuje matkę b. serdecznie.*) Moja najdroższa mateczko! Jakże ci jestem wdzięczną, że mnie obdarzasz takim ojczulkiem. (*Staje pomiędzy niemi i błogosławi ich.*) Niech was pobłogosławię!

SCENA XVI.

Ciż sami. EDWARD i BARON.

BARON (*wyfrakowany wchodzi przez środkowe drzwi.*)

EDWARD. Baron przyjechał.

JADWIGA (*biegnie do Edwarda.*) Edziu! mój

drogi mężusiu, chodź tu prędzej; pobłogosław także. W tej chwili papa i mama zaręczyli się.

EDWARD (*ucieszony.*) Mój ojciec!... czy być może. Niech Bóg błogosławi temu postanowieniu. (*Winszuje i ściska.*)

BARON (*który wszedłszy ceremonialnie, zajął stanowisko na przodzie sceny, spogląda ostłupiały to na narzeczonych, to na Jadwigę.*)

JADWIGA (*na boku do barona komicznie:*) Co Bóg złączył, ludziom nie wolno rozłączać.

BARON. To — złączył — Bóg? — Jak się zdaje, to tutaj po raz czwarty... co?...

JADWIGA (*j. w.*) Tak i mnie się zdaje. Ale mama nie wie o niczem.

BARON (*żywo.*) I nie dowie się nigdy?

JADWIGA (*j. w.*) Nigdy.

LIPiŃSKA. Jadwisiu! co tak tam szepcesz z baronem? (*Do barona.*) A pan, panie baronie, nie bierzesz udziału w szczęściu swoich przyjaciół?

BARON (*prędko przychodząc do siebie.*) Jakże łaskawa pani możesz tak sądzić? Szczerze winszuję. (*Catuje ją grzecznie w rękę i obraca się do Wołowicza winszująco.*)

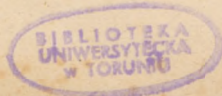
JADWIGA. Ale mamó! gdzie twoje silne postanowienie? Dziś jeszcze mówiłaś, że babka...

LIPiŃSKA (*prędko.*) ...Musi dla dobra swych dzieci iść ręką w rękę z dziadusiem. (*Podaje Wołowiczowi rękę. — Podczas gdy Edwardowie ścisnąją rodziców, mówi właśnie gdy kurtyna spada:*)

BARON. A to dopiero wpadłem! co?...

KONIEC.

Els. o. Szostek S.



223 B

30.000-

Biblioteka Główna UMK



300001506795

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

654279